

Kronika i Komentarze

Azja Centralna

Maciej Falkowski

🕌 Al-Kaida wzywa chińskich Ujgurów do dżihadu

Na początku października ubiegłego roku Abu Yahia al-Libi – przebywający prawdopodobnie w Pakistanie jeden z najważniejszych przywódców Al-Kaidy – wezwał zamieszkujących chińską prowincję Sinkiang (zwaną również Wschodnim Turkiestanem) muzułmańskich Ujgurów, aby „powrócili do religii przodków” i rozpoczęli dżihad przeciwko władzom chińskim. Zaapelował również do muzułmanów na całym świecie o pomoc ujugurskim mudżahedinom i zapowiedział, że ateistyczne Chiny w najbliższej przyszłości może spotkać los Związku Radzieckiego.

W rzeczywistości dżihad w Sinkiangu trwa już od wielu lat, choć ze względu na niemal totalną kontrolę władz chińskich nad własnym społeczeństwem oraz niewielkie jak dotąd poparcie społeczne dla hasła wojującego islamu ma bardzo ograniczony zasięg. W Kaszgarze, Urumczy i innych miastach Wschodniego Turkiestanu sporadycznie dochodzi do starć chińskich struktur siłowych z bojownikami islamskimi, zdarzają się akty terrorystyczne. Nieliczni Ujgurzy walczą również w szeregach afgańskich talibów i są członkami islamskiej międzynarodówki

terrorystycznej. Pojawienie się apelu al-Libiego właśnie teraz nie jest przypadkowe, kilka miesięcy temu Sinkiangiem wstrząsnęły bowiem krwawe zamieszki między Ujgurami a Chińczykami, w których zginęło prawie dwieście osób. Ich przyczyną była narastająca wśród rdzennej ludności ujugurskiej frustracja masowym napływem Chińczyków (obecnie stanowią oni już większość mieszkańców Turkiestanu) i systematycznym ograniczaniem autonomii regionu oraz udziału Ujgurów w jego życiu polityczno-gospodarczym. Aby opanować sytuację, Pekin musiał ściągnąć do regionu dodatkowe oddziały wojskowe i ogłosić na jego terytorium stan wyjątkowy.

Po pacyfikacji wystąpień przez Sinkiang przetoczyła się fala represji, kilka osób skazano na karę śmierci, znacznie więcej na wieloletnie pozbawienie wolności. Represje stwarzają idealne podłoże dla rozwoju fundamentalizmu islamskiego wśród Ujgurów, co stara się wykorzystać Al-Kaida.

Jaki to ma związek z Azją Centralną? Bardzo duży. Sinkiang sąsiaduje z tym regionem (graniczy z Kazachstanem, Kirgistanem i Tadżykistanem), przez wieki był uważany za integralną część Azji Centralnej, a Ujgurów z większością narodów centralnoazjatyckich łączy wspólnota języka, religii i kultury. W Kirgistanie i Kazachstanie żyją także kilkudziesięciotysięczne diaspory ujugurskie,

a w Sinkiangu wielu Kazachów, Kirgizów i Tadżyków. Od rozpadu Związku Radzieckiego państwa Azji Centralnej są coraz silniej związane gospodarczo z zachodnimi Chinami: przez chińsko-kazachskie, chińsko-kirgiskie i chińsko-tadżyckie przejścia graniczne nieprzerwanie płynie potok handlarzy i gasterbeiterów, a tanie chińskie towary zalewają rynki Ałmaty, Oszu czy Duszanbe.

Jakakolwiek destabilizacja Sinkiangu stanowi więc bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa i stabilności sąsiadujących z nią państw, co może wiązać się zarówno z działalnością Al-Kaidy, jak i odwetowymi krokami Chińczyków. Ta pierwsza może wykorzystywać zarówno terytoria państwa Azji Centralnej, jak i miejscowych Ujgurów do organizacji dżihadu w Sinkiangu, na co Pekin może odpowiedzieć zwiększaniem własnych wpływów w regionie czy wywieraniem presji na państwa centralnoazjatyckie. Ze skali niebezpieczeństwa doskonale zdają sobie sprawę przede wszystkim władze Kazachstanu i Kirgistanu, których reakcją na lipcowe zamieszki w Urumczy było objęcie ścisłą kontrolą mniejszości ujgurskiej.

❖ Formalizacja autorytaryzmu w Kirgistanie

Na przełomie października i listopada ubiegłego roku prezydent Kirgistanu Kurmanbek Bakijew podjął kolejne kroki zmierzające do usankcjonowania rządów silnej ręki. O ile jeszcze rok czy dwa lata temu posunięcia Bakijewa w kierunku umocnienia własnej władzy i ograniczenia demokracji odbijały się szerokim echem

w regionie, o tyle obecnie nikogo to już nie dziwi. W ciągu ostatnich kilku lat Kirgistan ostatecznie utracił miano „oazy demokracji” w Azji Centralnej, upodabniając się do autorytarnych sąsiadów.

Wcześniejsze antydemokratyczne kroki Bakijewa miały bardziej zakamuflowany charakter, jednak tym razem prezydent postanowił grać w otwarte karty. Rozpoczął od reformy rządu, której celem było jego znaczne osłabienie na rzecz głowy państwa. W ramach reformy ustrojowej powołano tak zwany Instytut Prezydenta, któremu podporządkowane zostało między innymi Ministerstwo Spraw Zagranicznych, służby specjalne i policja finansowa. Jednocześnie Bakijew dokonał zmiany na stanowisku premiera: etnicznego Rosjanina Igora Czudinowa zastąpił jeden z najbliższych współpracowników prezydenta Danijar Usenow, znany z twardej ręki aparatczyk i wpływowy oligarcha.

W ślad za umocnieniem władzy politycznej Bakijew postanowił również usankcjonować kontrolę własnego klanu nad sferą gospodarczą, czemu służyć miało utworzenie Centralnej Agencji ds. Rozwoju, Inwestycji i Innowacji. Ma to być najważniejsza instytucja gospodarcza w kraju, a jej zadaniem będzie między innymi opracowywanie strategii rozwoju ekonomicznego, projektowanie budżetu i przyciąganie inwestycji z zagranicy. Agencja ma mieć także kontrolę nad prywatyzacją strategicznych przedsiębiorstw państwowych. Ogromne znaczenie nowej struktury gospodarczej podkreśla fakt, że na jej czele stanął Maksym Bakijew – wpływowy w biznesie i polityce

syn prezydenta, a niewykluczone, że i przyszył następcę tronu.

❧ **Aszchabad drażni Moskwę**

29 października ubiegłego roku sąd rejonowy w turkmeńskim Daszoguzie (miasto na północy kraju, przy granicy z Uzbekistanem) skazał znanego ekologa i działacza pozarządowego Andrieja Zatokę na pięć lat kolonii karnej za umyślne spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Sprawa miała kuriozalny przebieg. Rzekoma „ofiara” ekologa to trzykrotnie skazany za drobne przestępstwa miejscowy narkoman, którego Zatoke miał zaczepić i pobić na miejscowym rynku. „Przypadkowo” znajdujący się tuż obok turkmeńscy milicjanci zareagowali natychmiast. Zatoke błyskawicznie trafił do aresztu, a rozprawa sądowa wraz z ogłoszeniem wyroku odbyła się w ciągu dziewięciu dni. Nie pomogły apele działaczy ekologicznych z całego byłego ZSRR ani międzynarodowych organizacji broniących praw człowieka.

Choć Zatoke nie zajmował się ani polityką, ani szerzeniem demokracji czy obroną praw człowieka, był postacią bardzo znaną i szanowaną. W latach osiemdziesiątych współtworzył w ZSRR ruch ekologiczny będący formą protestu przeciwko systemowi sowieckiemu i jednym z pierwszych przejawów społeczeństwa obywatelskiego. W 1982 roku Zatoke wyjechał z rodzinnego Jekaterynburga (wówczas Swierdłowska) i osiadł w Turkmenistanie, gdzie zaczął zajmować się ochroną przyrody. Niezależną działalność kontynuował także po rozpadzie

ZSRR, gdy władza w Turkmenistanie przeszła w ręce Saparmurada Nijazowa, a następnie jego wychowanka, obecnego prezydenta Kurbanguły Berdymuhammedowa – dyktatorów, przy których Putin, Łukaszenka czy Nazarbijew wydają się demokratami.

Tym razem jednak wszystko wskazuje, że to nie niezależna od władz działalność turkmeńskiego ekologa była przyczyną jego kłopotów. Sęk w tym, że Zatoke – obok turkmeńskiego – ma obywatelstwo rosyjskie, cała sprawa miała więc prawdopodobnie podtekst polityczny. Organizując pokazowy proces Zatokę, władze turkmeńskie chciały, jak się wydaje, utrzymać nosa Moskwie, z którą Aszchabad łączy obecnie – mówiąc oględnie – niezbyt ciepłe relacje. Kością niezgody między obydwojema krajami pozostaje kwestia eksportu turkmeńskiego gazu do Rosji, który po tajemniczej eksplozji jednej z nitek gazociągu Azja Centralna-Centrum w kwietniu 2009 roku został całkowicie wstrzymany. Od miesięcy toczą się niemrawe negocjacje, strony jednak nie są w stanie uzgodnić warunków wznowienia przesyłu „błękitnego paliwa”. Rosjanie domagają się zmniejszenia zarówno ceny, jak i objętości eksportowanego surowca, co nie satysfakcjonuje strony turkmeńskiej.

Zatoke miał jednak szczęście w nie-szczęściu: Aszchabad nie zdecydował się na eskalację sprawy. 6 listopada sąd apelacyjny zrewidował wyrok, zamieniając go na grzywnę, a już kilka dni później ekolog, po zrzeczeniu się turkmeńskiego obywatelstwa, odleciał do Moskwy.

🏗️ **Cały naród buduje... elektrownię**

W połowie listopada ubiegłego roku prezydent Tadżykistanu Emomali Rachmon polecił wyemitowanie od 1 stycznia 2010 roku akcji hydroelektrowni roguńskiej – największej, choć wciąż niedokończonej inwestycji w Tadżykistanie. Elektrownia, której budowę rozpoczęto w 1976 roku, ma być docelowo największym tego typu obiektem w Azji Centralnej (3600 megawatów) i zapewnić Tadżykistanowi nie tylko stabilność energetyczną (mimo ogromnego potencjału hydroenergetycznego kraj od lat boryka się z niedoborem prądu), ale również umożliwić eksport energii elektrycznej.

Problem w tym, że najbiedniejsze państwo Azji Centralnej, jakim jest Tadżykistan, nie jest w stanie dokończyć budowy własnymi siłami. Całkowity koszt inwestycji waha się, według różnych szacunków, od 3 do 6 miliardów dolarów. Duszanbe próbuje więc znaleźć inwestorów zagranicznych, co jednak na razie nie przynosi rezultatów. Zgodnie z umową z 2004 roku, elektrownia miała zostać zbudowana przez rosyjską firmę Rusal, która jednak nie wywiązała się z obietnicy. Pomysł emisji akcji, które mają sfinansować budowę, jest aktem desperacji władz tadżyckich, a jednocześnie przejawem braku poczucia realizmu. Zgodnie z tadżyckim prawodawstwem, elektrownia stanowi własność państwa, akcje mogłyby więc kupować jedynie obywatele Tadżykistanu – kraju, w którym średnia pensja wynosi... 40 dolarów. Jak obliczył znany centralnoazjatycki portal informacyjny Fergana.ru, aby dokończyć

budowę elektrowni, wszyscy pracujący mieszkańcy Tadżykistanu musieliby przekazywać całe pensje na rzecz inwestycji przez cztery lata.

Najwyraźniej prezydent Rachmon nie podziela poglądu o utopijności pomysłu z emisją akcji, wezwał bowiem obywateli do przekazywania jak największych kwot na budowę. Według prezydenta, każda szanująca się tadżycka rodzina powinna wpłacić na rzecz elektrowni co najmniej 690 dolarów. Spodziewający się krytyki tego pomysłu mogli się jednak głęboko rozczarować. Jak za starych dobrych sowieckich czasów, na apel „ojca narodu” natychmiast odpowiedzieli „patriotycznie” nastawieni urzędnicy i szefowie państwowych firm, a tadżyckie media zaroily się od deklaracji „kolektywów” poszczególnych przedsiębiorstw i urzędów zobowiązujących się przekazywać określone sumy na budowę elektrowni. Ciekawe, czy zarabiający krocie na kontrolowaniu wszystkich strategicznych gałęzi tadżyckiej gospodarki i posiadający konta w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Szwajcarii liczni członkowie klanu Rachmona dokonali już wpłat na odpowiednie konta?